DODATEK DO № 36.

Dnia 31 grudnia 1840.

LIST IGNACEGO DOMEJKI DO . . . . .

Coquimbo, 18 lipca.

(Dokończenie).

Czas siewby pszennéj jest w miesiącu czerwcu i lipcu. Rolau prawia się raz a miejscami dwa razy. Zazwyczaj sieją pod sochę, a tylko w miejscach gliniastych orzą raz przed siewbą, w krótce potem sieją i worują nasienie. Pług niewielki lekki, zaledwo porze ziemię, która w ogulności jest marglową rozsypującą się od suszy. Niepotrzebują, jakem już powiedział, nawozu. Nieznają bron, a równają ziemię gałęziami i rozmaitą kolczastą krzewiną. Czas żniwa pszennego przypada pod koniec grudnia. Zaraz po ścięciu, skoro tylko podeschnie słoma robią na temże samem polu tok z ubitéj ziemi, okrągły, zlekka ogrodzony, dokąd na mułach i osiołkach ściągają w pęki powiązane jęczmień lub pszenicę i natychmiast następuje młoćba, wielce różna od naszéj. Zamiast ludzi i cepów, spędzają na to miejsce kilkanaście koni i zrebiąt i jeden czy dwóch ludzi na koniach uganiają je po zwiezionem zbożu dopóki staje ziarna w kłosach. Poczem wytrząsają ostrożnie i sprzątają słomę a ziarno wieją i arfują jak u nas. Są niektóre pola tak żyżne, że dają 50 60 i więcéj ziarn za jedno; w ogólności jednak, najlepsi nawet gospodarze nie więcéj nad 13 do 15 ziaren mają z użętku. W niektórych miejscach mają zwyczaj zaraz po zdjęciu pszenicy siać na tymże samem polu fasole lub kartofle i w jednym roku podwojny plon zbierają. Lepsi jednak gospodarze dają wypoczynek roli od żniwa aż do siewby, przez pięć do sześciu miesięcy. Siewba kukuruzy, fasoli, kawonów etc. przypada pospolicie w miesiącach wrześniu lub październiku, a zbiór pod koniec marca i w maju ; kartofle zaś i niektóre ogrodowiny, groch etc. każdego czasu sieją i zbierają tak zimą jako też latem. Zadziwia mię szczególnie płodność fasoli, które tu pospolicie więcéj sta ziarn wydają. Miejscami poczęto uprawiać cukrową trzcinę i bawełnę; ale z tych pierwsza chociaż się łatwo przyjmuje i rozrasta, nie ma téj słodyczy co pod zwrotnikami, uprawa zaś bawełny niezdaje się przynosić tyle korzyści co pszenica. Winograd tutejszy szczególnie z prowincji Huasco wyrownywa co do słodyczy najlepszemu z południowéj Francii i Hiszpanii , nie jest tak karłowaty jak francuzki i chociaż dotąd niepotrafiono z tutejszych winogron robić win tak dobrych, jak są burguńskie , reńskie etc. z tem wszystkiem, wino tutejsze krajowe lepsze jest i daleko mocniejsze od ordynaryjnych win niemieckich, dosyć tanie, podobne ze smaku do hiszpańskich

i niezadługo kraj ten więcéj wywozić pocznie swoich własnych win do innych państw Amerykańskich niżli ich kupować będzie od Europejczyków. Zaczęto też pracować nad uprawą morwowych drzew i chowem jedwabników, ale to przedsięwzięcie nie miało dotąd pomyślnego skutku.

Wszystkie te jednak gałęzie rolniczego przemysłu, podrzędne zdają się być w krajowém gospodarstwie, mianowicie między mieszkańcami południowych prowincji Chili. Tutejszy wieśniak jest bardziéj górnikiem i pasterzem niż rolnikiem, zręczniejszy do górniczego młota i ochotniejszy do konia niż do pługa. Lud wolny w obliczu prawa, niewolnik w obliczu potrzeb, passji i owéj zależności, która wszędzie między bogatym a ubogim zachodzi, gdy pracuje, pracuje z potrzeby, i woli na dzielnym koniu za końmi z dzikiem bydlęciem po górach uganiać, lub szukać srebra i złota pod górą, niż iść za pługiem. Dla tego to druga część gospodarstwa, chów bydła, koni, mułów bardziej zajmuje tutejszych gospodarzy niż rolnictwo, a kiedy zabraknie chleba, wolą sprowadzać ziarno z południowych prowincji Conception i Chiloe niż ująć pastwiskom części roli pod zasiew.

Chociaż w tutejszym kraju nie masz trzód tak licznych i tak rozległych posiadłości jako po drugiéj stronie Kordilierów, na stepach Buenos-Ayres i po zabrzeżu Montewideo, są jednak i tu właściciele którzy po kilkanaście tysięcy rogatego bydła, mułów i koni mają i co rok po tysiąc lub dwa tysiące bydła karmnego sprzedają. To com powiedział o polewanych pastwiskach, służy tylko na ukarmienie przeznaczonych do zarznięcia lub na sprzedaż sztuk; reszta zaś i wszystkie trzody i stada pasą się w górach, nie daleko śnieżnéj strefy, gdzie pomimo braku deszczu, utrzymuje się wilgoć od topniejących śniegów i od ruczajów, które między skałami rodzą się i nikną. Zdarza się, że kiedy deszcze kilkakrotnie spadną w lipcu i sierpniu, większa część gór tak zarasta kwiatami i soczystą trawą, że trawa ta choć posechnie, konserwuje się na pniu jako u nas siano suche w stogu i służy na pożywienie bydła. Ztąd rozróżnić należy w każdéj majętności większéj, sam folwark i jego grunta polewane które pospolicie zowią *hasienda*, od całego obszaru gór po których swobodnie i dziko pasą się i rozpładzają trzody i stada należące do tego folwarku, a który to obszar zowią *estencia*. Bywa że folwark, który zaledwo kilkadziesiąt morgów ma polewanéj ziemi, zajmuje swoją estencją w górach większe obszary niżli wiele Xięstw Niemieckich. Nie widać tam ani mieszkań, ani zagród, ni kopców, ni odznaczonych granic: doskonała pustyń. Spostrzeżesz tylko tu i owdzie rozproszone krowy, oślice, konie, źrebięta, i czasem przelatującego w jaskrawym płaszczu, miedzianéj twarzy *guasa* (górala) lub jaką odludną chałupę w krynicy, z chrustu i trzciny skleconą. Do téj pustyni, estancja, wyjeżdża Pan z licznym pocztem przyjaciół i gości raz lub dwa razy na rok na połów i odłączenie ze swoich trzód pewnéj liczby sztuk bydła, które przeznacza na ukarmienie i sprzedaż. Jest to przedewszystkiem ulubioną zabawą obywateli. Tu się probuje zręczność jezdca uganiającego między skałami i

przepaściami, z arkanem w ręku, za dzikim bydlęciem, które wstrzymuje w pędzie, zarzucając mu sznur na szyję i osadzając je nieraz na spadzistości tak strasznéj, że po niéj i piechotą nam byłoby trudno wdrapać się. Na tych gonitwach pędzą kilka dni wesoło, pod pogodném niebem, karmiąc się wędzonem mięsem i zapijając *czyczę*, to jest młode tutejsze wino, lub gorzałkę pędzoną z moszczu. A gdy już dostateczną ilość bydła zbiorą i odłączą, wracają do domu; przypędzone bydło idzie między zagrody na polewane pastwiska i na tem się cały dozór i całe pielęgnowanie trzód kończy.

Bydło tutejsze jest do Holenderskiego podobne, o wielkich rozłożystych rogach. Konie jak widać z Andaluzkiéj rasy, mierzyny, ale kształtne, lekkie i dziwnie lekko noszące. Pospolicie mają głowę nie wielką, nogi cienkie, grzbiet równy i szyję cienką, wyniosłą. Kopyta są tak twarde że zdarza się na niekutym koniu odbyć sto mil drogi po górach i skałach, i tego nieznać na koniu. Mogą też wytrwać dwa lub trzy dni bez pokarmu i więcéj niż 24 godzin bez wody. Zwyczajem zaprowadzonym przez Hiszpanów, nikt nie używa dotąd klaczy ni do zaprzęgu, ni pod ciężary, a tém mniéj do siodła. Wszystkie klacze są po estenciach między stadami, a byłoby wstydem i wielką hańbą dobrze urodzonemu *kaballero* (kawalerowi), jechać na klaczy. Wszystkie transporta odbywają się na ujeżdżonych mułach, które tyle kosztują co dobre konie, a są wytrwalsze i silniejsze.

Jest też jedna gałęź pasterstwa bardzo ważna w tym kraju, która szczególnie uboższym daje łatwy sposób do życia a nawet do zbogacenia się. Jest to chów kóz. Wieloraki pożytek z nich ciągną. Mleko kozie jest tu lepsze, daleko smaczniejsze od krowiego, i bez żadnego zapachu. Mięso kozlęcie wyborne; a co najwięcéj dochodu przynosi, są skury, które tu służą za wiadra do noszenia wody, za wory do transportów, i łój który się tu na świce dla górników wytapia. Gatunek kóz jest daleko piękniejszy od naszych żydowskich; rozpładzają się dziwnie prędko i żyją suchą krzewiną, tam gdzie prawie i śladu zieloności nie widać. Uboga familja która zaledwo na kilkanaście kozląt na początku swego gospodarstwa zdobyć się może, stawia ubogą chałupę w pośrodku suchéj pustyni i w kilka lat do przystojnego majątku ze dwiestu do trzechset kóz złożonego przychodzi. Głównym nieprzyjacielem tego gospodarstwa jest lew tutejszy, mniéj odważny i mniejszy od afrykańskiego, a czyhający na kozy, jako nasz wilk na owce. Gdy jedną pochwyci inne biegą za nim, jak gdyby mu ją odebrać, lub się mu przypatrzyć chciały, a on tymczasem jedną po drugiéj dusi aż nie nadbieży właściciel z psami.

Rzecz dziwna, że dotąd nie zaprowadzono tu dobrego gatunku hiszpańskich owiec, które pod suchem niebem, powinnyby się poprawiać, a przynajmniéj zachować swoją rasę. Wszelkie usiłowania w tém względzie dotąd bezskuteczne były, i w ogólności nie widziałem tu nawet miernego gatunku owiec, wszystkie są długiéj i grubéj wełny.

— Lista osób które przesłały ofiary swe do rąk P. Władysława Platera trudniącego się zbieraniem składki na rzecz familji dotkniętych powodzią w południowych departamentach Francji. Życzący mieć udział do tego dobroczynnego dzieła, raczą przesłać swój datek do *Wład. Platera* 38 *St. Dominique St. Germain.*

Bobrowska 5 fr., Czarkowski 5 fr., X. Czartoryski 20 fr., Jenerał Gawroński 3 fr., Półkownik Gawroński 5 fr., Albert Grzymała 5 fr., Hofman 5 fr., Eustachy Januszkiewicz 5 fr., Jen. Kniaziewicz 5 fr., Kaszyc 5 fr., Kątski Karol 10 (*) fr., Kątski Antoni 10 fr., Kozmian 5 fr., Łopacińscy 5 fr., Marylski 2 fr., Józef Mikulski 1 fr., Izydor Mikulski 5 fr. Morbicer 5 fr., Mickiewicz 5 fr., Mieroszewski 25 fr., Michał Mycielski 5 fr., Morawski 5 fr., Nakwaski 5 fr., Karol Niemcewicz 5 fr., Pani Niezabitowska 5 fr., Ostaszewski 5 fr., Orda 3 fr., Ludwik Plater 5 fr., Władysław Plater 20 fr., Cezary Plater 20 fr., Plichta 5 fr., X. Sapieha 20 fr., Alexander Sobański 5 fr., Izydor Sobański 5 fr., Szembek 5 fr., Załuski 5 fr., Zamojski 10 franków. Pani Skorupka 5 fr. Barzykowski 3 fr. W ogóle 277 franków.

— Składka na zakupienie ziemi na cmentarzu w Avignon dla zachowania pomnika wystawionego zmarłemu Pułk. Szleglowi wyniosła (patrz str. 123). fr. 62 20 c.

Mieczkowski.	1
W ogóle.	63 20.

Osoby trudniące się zebraniem téj składki raczą zgłosić się do Eust. Januszkiewicza po odebranie summy 63 fr. 20 c.

*Bracia Kątscy talentem swym przyczynili się znacznie do powiększenia funduszów na ten cel dobroczynny. Karol w Wersalu, Antoni w Paryżu, należeli do koncertów, które nie mały przyniosły dochód.

— Sławny nasz ziomek Szczepanowski przybył znowu do Paryża. Od czasu swego ostatniego pobytu w tutejszéj stolicy objechał Francią i Szwajcarią; wszędzie tłumy lubowników, i dzienniki, publiczności echa, okrzyknęły go Paganinim gitarzystą. Mieliśmy już sposobność słyszeć go teraz po kilkakroć razy i przekonać się że z tego sądu nie trzeba nic odtrącać na karb entuziazmu, ale że on jest szczerem i prostem wyznaniem wrażenia jakiego doznaje każdy przysłuchujący się dzwiękom gitary polskiego wirtuoza.

W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, RUE JACOB, 30.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KRAKÓW